



◀ **Portret Radogosta Martynowskiego** wystawiony podczas Mszy św. w jego intencji. **Przed nim świeca, którą dostał od siostry na Boże Narodzenie.**

skiej, posuwa się spokojnym krokiem Doliną Pięciu Stawów.

BYĆ ALBO NIE BYĆ

Kiedy do krakowskiego mieszkania Radogosta puka policja, Anna Martynowska jest zaskoczona. Funkcjonariusze informują ją o tragedii. To strzał w serce.

W sobotę 29 stycznia w Tatrach zeszyły dwie lawiny śnieżne w tym samym czasie. Jedna z nich – w rejonie Niżnego Kosturu w Dolinie Pięciu Stawów – porwała dwóch narciarzy, w tym Radogosta. Jego kolega miał wiele szczęścia. Wydostał się spod śniegu bez większych obrażeń i namierzył swojego partnera. Niestety, tony śniegu, które porwały Radogosta, przebiły zamrożony lód Czarnego Stawu i mężczyzna dosłownie wbił się wraz z lawiną w taflę wody. Mimo akcji ratunkowej nie przeżył.

Warunki w Tatrach były wówczas bardzo wymagające, ale pogoda sprzyjała skiturowcom. Radogost i jego kolega mieli doświadczenie w turystyce górskiej, świetną kondycję i profesjonalny sprzęt zabezpieczający, lecz żywioł okazał się silniejszy. Może nie powinni się tam wtedy znaleźć? Bliscy Dzidka (jak nazywali go przyjaciele) nie myślą takimi kategoriami. On i jego towarzyszy byli zorientowani, jakie warunki panują w Tatrach. Wiemy jednak, że człowiek rozumie różne zagrożenia, nawet umie je nazwać, ale nie liczy się z najgorszymi ewentualnościami. Inaczej byłby w jakimś sensie ubezwłasnowolniony. W Tatrach Radogost szukał wolności, piękna, hartował siebie, swoje ciało, ale równie mocno umysł. Kochał góry, bo w górach (dolnośląskich Sude-tach) się wychował.

NIE ZMARNOWAŁ ANI MINUTY

Lutynia koło Łądka-Zdroju na Dolnym Śląsku. Trwa Msza św. w intencji „szybkiego dołączenia Radogosta Martynowskiego do grona błogosławionych i świętych”. W malowniczym niewielkim kościółku pw. św. Jana Chrzciciela modlą się bliscy i znajomi tragicznie zmarłego. Stoi jego portret, a przed nim świeca, którą z okazji świąt Bożego Narodzenia młodsza siostra podarowała Dzidkowi. Kto by pomyślał, że dwa miesiące później zapłonie ku jego pamięci? Po Eucharystii Anna zaprasza

Kto jak nie Dzidek?

Miał 30 lat. Nie zmarnował żadnej minuty swojego życia. Zabrały go tatrzańskie śniegi. Jego bliscy wiedzą, że **kochał góry i do góry poszedł**.

Maciej RAJFUR
maciej.rajfur@gosc.pl

Jest 28 stycznia. Radogost Martynowski szykuje się z kolegą na wyprawę w Tatry na nartach skiturowych. Wieczór przed wyjściem w góry 30-latek

dumnie prezentuje mamie oraz jej przyjaciółom wysokiej klasy sprzęt lawinowy. Sięga po raz kolejny po książkę, z której opracowywał trasę. Wyjazd jednak wisi na włosku, bo uzależniony jest od tego, czy w schronisku zwolni się miejsce noclegowe. Miejsce się pojawia. Nazajutrz młody inżynier, absolwent Politechniki Krakow-

na spotkanie wspominkowe. Minęły trzy tygodnie od tragedii w górach. – Oswoiłam się z jego odejściem. Ale oswojenie to nie przywyknienie czy zapomnienie, tylko akceptacja wydarzeń i myślenie o nich w sposób konstruktywny, nie destrukcyjny – mówi „Gościowi” Anna Martynowska. Podkreśla, że dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jakim człowiekiem był jej syn. Nazywa go doskonałym dziełem Boga. – Nie zmarnował żadnej minuty swojego życia. To sztuka, która mnie się nie udaje. On wziął ode mnie tylko najlepsze cechy, a tych złych nie. Ani niejednokrotnie mój nie najlepszy przykład, ani żadne zło tego świata nie miały do niego przystępu – opowiada matka. Nie myśli kategoriami „co by było, gdyby...” albo że mogło być inaczej. Nie zachęcała ani nie odradzała Radogostowi nigdy takiej aktywności. Rozumiała ją. – W dzieciństwie z bratem wchodzili na drzewa czy na dach. Odwracałam się wtedy i nie patrzyłam. To przecież chłopcy, więc zachowywali się jak chłopcy. Kiedy Dzidek zaczął się wspinać, przygotowywałam go do tego, jak mogłam. Nie jestem jednak matką, która trzyma pod kloszem. Może to dziwnie zabrzmie, jednak myślę, że Radogost był gotowy na śmierć – stwierdza Anna.

PRZYTULAJ MATKĘ

Anna nie miała do nikogo pretensji po tragedii. A już na pewno nie do Pana Boga. – „Panie, do kogóż pójdziemy?” – przypomina słowa św. Piotra Apostoła skierowane do Jezusa. – Ciepłą ręką dotykam zimnego policzka takiego syna i myślę sobie, że skoro ja dałam mu życie, powinnam go też do tego życia przywrócić swoją mocą. Wówczas zdaję jednak sobie sprawę, że nie dałam mu życia. Dał je Bóg – zamyśla się matka.

Czy jej dojrzałość i pewność w rozumieniu sprawy oznacza, że nie pojawiają się żal i łzy? Absolutnie. – Rano wstaję, popłakuję, ale chwytam za różaniec. Dużo się modłę. Codziennie wieczorem odmawiamy rodzinnie Koronkę do Mił-

sierdzia Bożego w intencji Dzidka. Pamiętam, kiedy zrobiłam to pierwszy raz po jego śmierci. Przyszł mi ogromny pokój. I nie chodzi o technikę uspokajania. Taka właśnie jest siła modlitwy. Ona upewnia mnie, że idę dobrą drogą. Mam nadzieję, że to Radogost mnie prowadzi – tłumaczy Anna Martynowska.

Tatry zabrały jej syna. Czy zabroniłaby młodym ludziom próbować tam swoich sił? – Nie. Pan Bóg, jeśli oddajemy się Mu w opiekę, czuwa nad nami i niech się dzieje Jego wola. Nie twierdzą, że Bóg tak chciał, bo Bóg nie chce naszego nieszczęścia. Ale mój syn dokonał wyboru. Wiedziała, że musi to robić, żeby być takim mężczyzną, jakim pragnął być. Ludziom tak aktywnym jak on przekazuję tylko: „Przytulajcie swoje matki” – mówi łamiącym się głosem. Po chwili apeluje do rodziców, którzy mierzą się ze stratą dziecka: – Teraz musimy się postarać, by za tymi dziećmi pójść do nieba.

WYSZŁO NA MOJE

Martynowscy to rodzina o tradycjach katolickich, patriotycznych, niepodległościowych i naukowych. Tak też wychowany był Radogost. – Łądek-Zdrój dał mi dwie dobre sprawy: ruch Communione e Liberazione (Komunia i Wyzwolenie) i wspaniałego męża – przyznaje Anna. Po najboleśniejszym doświadczeniu swojego życia napisała niezwykły list, który poruszył w internecie wiele osób: „I widzisz, Synku? Marzeniem moim było, aby jedno z moich dzieci poszło na służbę Bogu. Gdy to mówiłam, patrząc na Ciebie, śmiałeś się (zawsze się uśmiechałeś). I wyszło na moje. Ty u Chrystusa już na ordynansach. [...] Byłeś dumnym krwiodawcą. Oddałeś wielokrotnie więcej czystej, z serca płynącej krwi, niż sam miałeś. Tak więc żyjesz w tych biedakach, do których ona popłynęła. (...) Oprawdzałeś z ochotą po śladach przeszłości każdego, kto tego potrzebował. W szczególnej pamięci mam amerykańskie dziewczyny ze Światowych Dni Młodzieży w Krakowie. I jeśli kiedyś

z nieba spadnie łańcuch rowerowy (a czasami leciało Ci z ręk) – to znak, że rozkrecaś Panu Bogu turystykę rowerową. Po zapomnianych kościółkach, prastarych zamczyskach. Tak jak robiłeś to tu, wciągając w to wielu młodych. Kto teraz będzie się wspinał z tym Libańczykiem, którego asekurowałeś w Skałkach? Kto Cię zastąpi na ślubach i weselach, gdzie tak chętnie byłeś zapraszany jako drużba i świadek? Przyznam, że moje matczyne serce drżało na wiadomość o kolejnych wieczorach kawalerskich. I to nie z powodu alkoholu, ale niesamowitych pomysłów, jak ten ostatni, z eksploracji podziemnych korytarzy pod Bystrzycą. A te białe obłoki na niebie – to z perfekcyjnie zaprojektowanej przez Ciebie spalarni grzechów naszych. Niebiański już, inżynierze”.

RAKIETĄ DO NIEBA

Dzidek lubił ludzi, a oni lubili jego. Przez znajomych został zapamiętany jako kontaktowy, sympatyczny, otwarty. Kulturalny i wierzący. Społecznik, patriota oraz erudyta. Lubiał zimą wstawać o świcie. Wchodził wtedy na pobliski Śnieżnik (1424 m n.p.m.), żeby zjechać z niego na nartach. Wracał do domu i zabierał się do pracy. Projektował urządzenia i technologie dla energetyki i ochrony środowiska. Kiedy jeździł samochodem z dolnośląskiego Łądka-Zdroju, skąd pochodził, do Krakowa, gdzie studiował, a potem pracował, zabierał ludzi do wspólnych przejazdów. Nie dla pieniędzy, lecz dla kontaktu i rozmowy.

Anna i najbliżsi Radogosta żyją myślą o spotkaniu z nim w królestwie niebieskim. – Mam przecucie matki, że on tam teraz jest. Myślę, że Bóg go przyjął, bo on się Boga nie wyrzekł. Po śmierci poszedł w tempie rakiety do nieba. Bo jeśli nie on, to kto? – pyta z lekkim uśmiechem Anna Martynowska. W jej oczach widać głęboki smutek. Taki ludzki, zrozumiały. Ale wyczyta się z nich także ogromną nadzieję. Pochodzącą nie z tego świata. Ona jest jeszcze głębsza niż to, co tu na ziemi. ■